

Kapuściński był jak znikający punkt...

Książka Marka Kusiby o Ryszardzie Kapuścińskim



Marek Kusiba (z lewej) z Ryszardem Kapuścińskim przed domem rodziny Connable (w roku 1920 mieszkał tam Ernest Hemingway), 2 grudnia 1996 r. podczas wizyty reportera w Toronto z okazji otrzymania Nagrody im. Turzanskich), fot. D. Kuprel.

Roman Sabo-Walsh

Kim jest reporter? Człowiekiem słuchu i człowiekiem spotkań.

W 2018 r. ukazała się książka o spotkaniach i słuchu dwóch reporterów - Mistrza Kapuścińskiego i czeladnika Kusiby[1]. Zapytałem autora o ten tytuł. Wyjaśnił: - Z daleka dlatego, że pisałem tę książkę z oddalenia, z Kanady, i z perspektywy północnoamerykańskiej oraz obecności Kapuścińskiego na tym kontynencie,

obecności literackiej w przekładach i wywiadach, tudzież spotkaniach z czytelnikami (bywał często w Nowym Jorku, Toronto, czy w Kolumbii Brytyjskiej, gdzie mieszkają jego siostra i córka); a z bliska dlatego, że znałem go osobiście, przez wiele lat się przyjaźniliśmy i często rozmawialiśmy, a rozmowy notowałem, z tych notatek i wspomnień powstała ta książka.

„Pisałem ją długo, praktycznie przez cały okres znajomości z Ryszardem” – wyznaje Kusiba we Wstępie. Czego uczeń nauczył się od mistrza? Konkretu frazy, szacunku dla czytelnika, któremu należy się wywód klarowny oraz duża doza zaufania, gdyż będąc inteligentnym, pojmie. Jak również pięknej sztuki uhonorowania hierarchii – w tej książce od początku do końca wiadomo, komu należny jest szacunek i kto oraz dlaczego ten szacunek okazuje.

Otwarcie „raptularza” spotkań autora z twórczością Kapuścińskiego jest reportażem – sprawozdaniem z lektury tekstów opowiadających przy pomocy doniesień z dalekiej Afryki o rzeczywistości ustrojowej Polski z lat sześćdziesiątych. Kusiba przypomina, że kontekstowe pisanie było cechą szczególną Ryszarda Kapuścińskiego na długo przed *Cesarzem*, sugerując zapewne, że przez wszystkie 50 lat swoich peregrynacji po świecie Kapuściński trzymał się zasady objaśniania Polski przez świat i poznawania świata przez szczególny pryzmat swojej polskiej wrażliwości. A przy okazji powstaje tekst o peerelowskich latach przeżytych przez ucznia, studenta, młodego reportera, zakotwiczony przez Kusibę w konkretnym języku, z odtworzoną specyfiką fraz, pojęć, zdarzeń i przemian. Otwierający klamrę opowieści o demoralizujących praktykach studenckich lat sześćdziesiątych, domykający ją fragmentami reportażu Kapuścińskiego z Nowej Huty – czternaście lat po Ważyku, Kapuścińskim, sytuacja robotnika jest nadal taka sama – praca nie ma sensu, demoralizuje, jest harową.

Kim jest Reporter?

Piszę tę książkę, bo chcę się podzielić z Czytelnikiem spotkaniami i rozmowami z Ryszardem Kapuścińskim. Ale muszę się do czegoś przyznać: ja nadal niewiele o nim wiem. Skrywał, zatajał, chronił swoje prywatne życie, nie dawał się poznać, nie zwierzał się nigdy, choć są w naszych spotkaniach wymowne momenty. Był zdyscyplinowanym wykonawcą narzuconych sobie nakazów, zakonnikiem własnej

ostrej reguły i klauzury[2].

Kapuściński nigdy nie dał się nikomu namówić na wywiad-rzekę. Jednocześnie sugerował młodszemu reporterowi, że właśnie napisany przez niego tekst będzie świetnym początkiem książki o... Kapuścińskim. I napominał – tylko jeszcze nie teraz, jeszcze za wcześnie. Pojętny uczeń, który przewertował i przemyślał wszystko, co o Mistrzu napisano, milczy na temat tych, którzy myśląc, że wiedzą bardzo dużo, albo i wszystko o reporterze, układali sążniste teksty, włącznie z pseudo-biografią.

Kim jest uczeń? Reporterem o karierze, piszę to bez przesady, przerwanej w tym słynnym decydującym momencie fotografika Henri Cartier-Bresson'a, przez urzędników ubeckiego PRL-u. „Rozmowy ostrzegawcze” służby bezpieczeństwa w stanie wojennym miały taki, mniej więcej, przebieg: *Pan wie, panie redaktorze, że my wiemy, gdzie jest pańska żona, która właśnie ma zamiar przejść na drugą stronę ulicy, pan wie, tam gdzie zawsze taki wściekły ruch, i gdzie samochód mógłby się nie zatrzymać przed przejściem dla pieszych, którym żona pana redaktora właśnie przechodzi na drugą stronę ulicy pchając przed sobą wózek z dzieckiem...*

Z owocnego trudu lektury tekstów ucznia aż po rok 1984, przełomowy rok emigracji do Kanady, wynika co następuje: Kusiba zaczynał swoje reporterskie życie jak wszyscy – od dobrych chęci, patosu przedstawień, słów czasem zbyt wielkich, moralizujących konstatacji. Kończył, będąc reporterem białostockich „Kontrastów” i „Gazety Współczesnej”, stylem prostym, nośnym, stawiającym fakt i sprawozdanie przed fanaberiami reportażyisty. Byłby reporterem klarownym, inteligentnym, spostrzegawczym, uczciwym, trzeźwo przedkładającym fakty nad emocje, empatię nad obojętność. Ciekawym przedmiotu opisu, troskliwie układającym opis ze słów nośnych, zdań solidnych, wieści godnych uwagi i dokładnie sprawdzonych. Czyli reporterem, który po latach przerwy, uprawiania różnych poletek piórem – szczególnie felietonowego – wraca jako autor reportażu biograficznego i autoreportażu zarazem *Ryszard Kapuściński z daleka i z bliska*, którego bohaterem jest reporter, świat, i obopólne oddziaływanie.

Świat zmieniający się na naszych oczach. Do niepoznania? Czy do zrozumienia? Kusiba opisuje ciekawy wyjątek z tego nowego świata, torontońską bibliotekę uniwersytecką, wielką betonową bryłę w samym centrum miasta, znienawidzoną np.

przez węgierskiego poetę na wygnaniu w Kanadzie, Georga Faludy. Bryła bryłą, nieadekwatna klimatyzacja, za to dostęp do wszystkich półek i godziny otwarcia od wczesnego rana do 24-tej. Kapuścińskiego uderzył

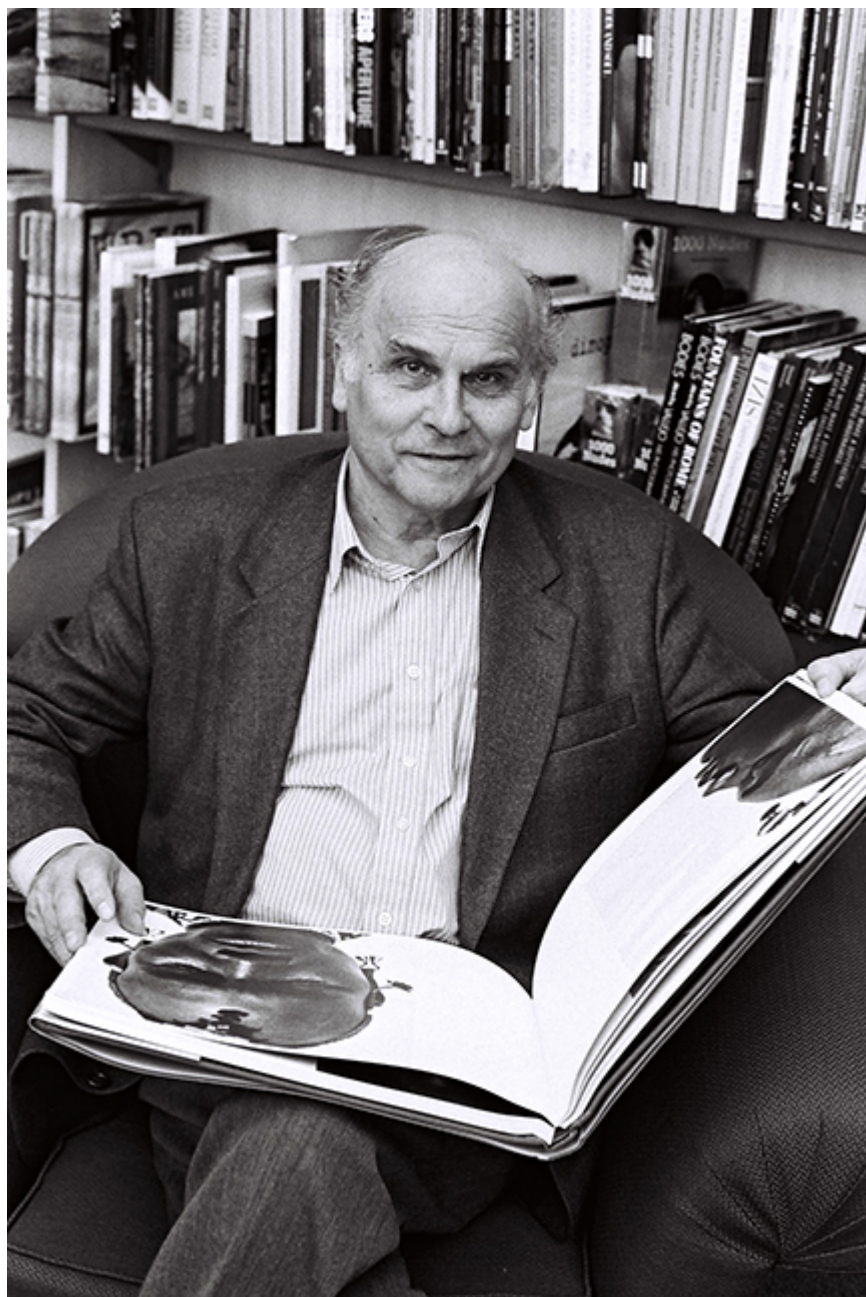
Wygląd tłumu studenckiego. Toronto? Ależ jestem raczej w Pekinie czy w Seulu, w Tokio, w Singapurze, w Kuala Lumpur [...]. Azja opanowała wyższe uczelnie Nowego Świata (...)[3].

Zastanawiając się nad tą obserwacją, autora tych słów, pomieszkującego kątem w Toronto (między innymi w jeszcze nie wynajętych, czy właśnie zdanych mieszkaniach bloku zarządzanego przez ciecia - jak sam siebie nazywa - Kusibę w samym centrum miasta) i z konieczności narzuconych przez koczowniczy styl życia właściwie czyniącego z biblioteki dom, ten wielorasowy świat również fascynował, co nie znaczy, że nie zdawał sobie sprawy z potwornego braku proporcji. Gdy opuszczał mury biblioteki zamykanej na cztery spusty o północy, był promilową mniejszością w przejętym sprawą kształcenia obcojęzycznym tłumie, na który składały się setki pilnych studentów.

Obie te uwagi, jakże lapidarne, są zaledwie zapisem spostrzeżeń, nie oferując refleksji nad tym, do czego to opanowanie bibliotek przez azjatycki świat może doprowadzić. Wielkość Chin, nie tylko rozwijających się ekonomicznie z szybkością światła, ale coraz agresywniej zachowujących się w świecie bezustannych zmian, czy to w Azji czy w Afryce, sprawnie przejmujących spuściznę wpływów i uzależnień od wycofujących się ze świata Stanów Zjednoczonych, oparta jest między innymi na wiedzy i ekspertyzie tych wszystkich absolwentów zachodnich uniwersytetów, tych oddanych sprawie wykształcenia inteligentnych, pracowitych, pokornie akceptujących zasady rozwojowe swoich państw prymusów.

Oczywiście, że podczas lektury książki Kusiby pojawia się myśl o zasadność jej powstania. Jaki sens pisania o nim we współczesnej Polsce. Różne odpowiedzi przychodzą na myśl, włącznie z tą o największym przegranym polskim reportażyście. Coż z tego, że hołubiony na świecie? Coż z tego, że istnieje nagroda Jego imienia; że organizuje się konferencje, skoro Kapuściński nie zaistniał w polskiej szkole, na polskich uniwersytetach, a w powszechnej polskiej współczesnej świadomości zdaje się go po prostu nie być. Tak ważne dla Kapuścińskiego sprawy jak przejęcie się

losami świata jako wspólnoty odpowiedzialności; otwarcie na Innego, między innymi przez próbę zrozumienia jego racji; pojęcie zgrozy czającej się za powszechnym pędem do dobrobytu za wszelką cenę, nie należą do języka współczesnej Polski. Za to dużo w nim braku poszanowania odmienności, zgody na neonazyfikację Europy; mantr o pasożytach i pierwotniakach, roznoszonych przez ludzi szukających schronienia przed okrutną wojną czy głodem, przypisanej im cholery w Grecji, czy dezynterii w Wiedniu.



Ryszard Kapuściński, fot. Marek Kusiba.

Skrajnie prawicowi politycy lubią wysługiwać się ludzkim nieszczęściem. Widać to

jak na dłoni w Polsce, ale widać to również w dzisiejszej Kanadzie. Mimo iż przeszło 40 tys. syryjskich uchodźców zostało bezkonfliktowo wchłoniętych przez 37-milionowe kanadyjskie społeczeństwo przed końcem roku 2017; mimo iż w 2017 otoczono opieką 20 000 uchodźców z USA przechodzących nielegalnie na kanadyjską stronę granicy z obawy przed antyemigracyjną polityką Trumpa, w przedwyborczej kampanii kanadyjscy konserwatyści uderzają w tony tak bliskie sercu przywódców, premierów, liderów, prezydentów: brak kontroli, rozpasanie migracyjnych mas, zanikające poczucie bezpieczeństwa wśród przeciętnych Kanadyjczyków, nierozważne szafowanie publicznymi środkami, wydawanymi na obcych. Dwa najbliższe lata pokażą, czy tak bliska sercu Kapuścińskiego Kanada, kraj akceptacji, uśmiechu, zamieszkiwany przez wszystkie ludy świata, polityki życzliwej odmiennościom wielokulturowości, obroni się przed zżerającą już teraz Europę nieufnością do Innego, agresją wobec odmienności, powrotem w brunatną lub zaledwie izolatystyczną przeszłość.

A Kapuścińskiemu inaczej świat się układał w całość. Podczas wspólnej podróży z autorem po „ścianie wschodniej” 20 maja 1997 roku Kapuściński

(...) wspomina wczesne wyprawy na Suwalszczyznę i Białostoczczyznę, gdy pisał reportaże dla „Polityki” zamieszczone później w „Buszu po polsku” (1962). Chętnie się tu wyprawiał z Warszawy, rozumiał niuanse językowe chłopów mówiących „po prostemu”. Dobrze się czuł w wielojęzycznym i wieloreligijnym przekładańcu, bo tu i Rzym, i Bizancjum, katolicyzm i prawosławie, ale też islam; to ziemia kościołów, cerkwi, meczetów (dwóch czynnych, w Bohonikach i Kruszynianach) i synagog (nieczynnych). Tęsknił do Polski mozaikowej, niejednorodnej religijnie i etnicznie, jaką pamiętał z dzieciństwa w Pińsku, ojczyzny skleconej z Polaków, Białorusinów, Litwinów, Żydów, Tatarów, Niemców, Ukraińców, Łemków, Bojków, Wołochów, Karaimów, Cyganów i kogo tam jeszcze. Polskość kwitła zawsze najbujniej na podściółce wielorakich zapożyczeń kulturowych[4].

Tragiczność postawy Kapuścińskiego związana jest również z ignorowaniem głównego przesłania prawie tysiąca stron lapidarnych zapisów, prostej w zasadzie, a jakże trudnej do wprowadzenia w życie w świecie pęczniejącym od miliardów pazernych stworzeń: trzeba ten świat kochać, troszczyć się o niego, pielęgnować.

A przecież świat powoli wpada w łapy rwaczy, przekonanych że filozofia rwactwa, przywłaszczania sobie wszystkiego bez miary i chwili refleksji, jakby trumny miały kieszenie, jest nie tylko zbożna, ale i uzasadniona przez tezy prymitywnego społecznego darwinizmu.

Opowieść o Ryszardzie Kapuścińskim, który „był jak znikający punkt” pióra Marka Kusiby, to coś więcej niż raptularz czy autoreportaż. Książka Kusiby to okazja to przemyślenia kilku niepokojących procesów przeobrażających nasz współczesny świat, tak bardzo - by odwołać się do Timothy Snydera - zaangażowany w odwrót od demokracji. Trudno jest w tym momencie przewidzieć, co zwycięży - troska czy rwactwo - władzy, przywilejów, kasy. Zbyt wielu rządców naszego współczesnego, globalnego, uzależnionego od siebie świata, przypomina Afrykańczyka Deda, budującego swój zamek z piasku, w opisie którego obecne są podstawowe zasady budowania nowego światowego ładu:

Ded otrzepuje dłonie, jego zamek stoi już gotowy. Nic nie będzie zmieniał, tak jest najlepiej. Mocna i zwarta konstrukcja, bez poprawek i bez przebudowań, dzieło ręki, która się nie waha. Wysokie mury, kanciaste zabudowania, cień na dnie dziedzińca[5].

Na koniec uwaga merytoryczna.

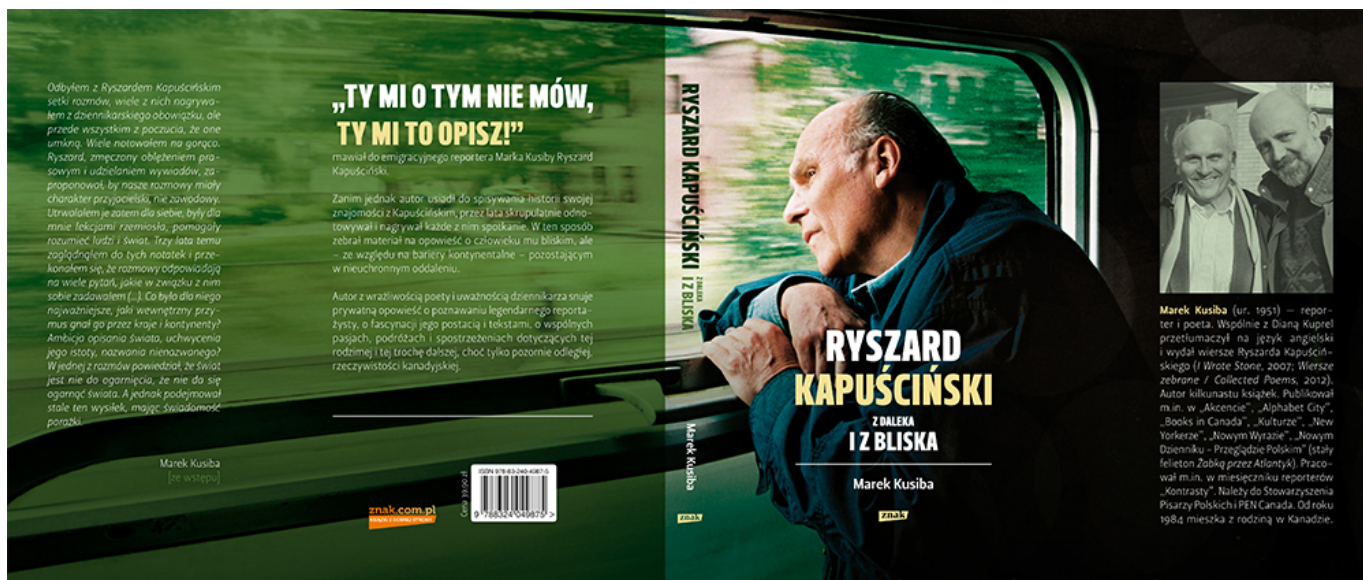
Dywagacje Kusiby na temat czy był Kapuściński *gonzo*, czy nie był, sprawiają wrażenie desperackiej próby terminologicznego usankcjonowania dokonań polskiego reportera na planie światowego reportażu. Dopóki trzymamy się amerykańskiego, a przecież nie amerykańskiego określenia *gonzo*, za bardzo nie wiemy w czym rzecz. Mówią, że on *Gonzo* - a niech sobie będzie *Gonzo*, byle nie *Gonzalo*. Jeżeli jednak pod puste znaczeniowo *gonzo*, podstawimy reportaż sowizdrzalski, reportaż łotrzykowski, *gonzo* pęknie jak mydlana bańka, i raz jeszcze zdamy sobie sprawę z odmienności dokonania Kapuścińskiego. O ileż bardziej - skoro już musimy wysługiwać się językami innych ludów - *sierioznego* w zamierzeniach, praktyce i dokonaniach. Zwłaszcza, że mamy już *gonzo* domowego chowu, *Przyjdzie Mordor i nas zje*, czyli *tajna historia Słowian* Ziemowita Szczerka, reportaż tyle obrazowy, co kontrowersyjny, mający za zasadę bezustanne obrażanie Ukraińców, co ma uzasadnić zasadność *pointy*: no i z kogo się śmiejecie, z samych siebie się śmiejecie.

Jeżeli słuszna jest lapidarna definicja samego Kapuścińskiego, że styl *gonzo* „zakłada uczestniczenie w zdarzeniach hedonistycznych, w skandalach itp. (...)”[6], którą zaczerpnął Kusiba z *Lapidarium*, pióro samo ciągnie po papierze myśl o hedonizmie nędznych lepiarek czy zakaraluszonych pokoików hotelowych, często opisywanych z ewidentną zgrozą przez autora *Hebanu*. A przecież te wszystkie ekstremalne osiągnięcia Kapuścińskiego biorą się z przedindustrialnej epoki, w której reporter uprawiał swój samotny zawód, wysyłany w świat bez środków do godziwego życia; nieubezpieczony, bez jakiegokolwiek zaplecza, stając się uczestnikiem ekstremalnego doświadczenia. Jeżeli dopisało mu szczęście, wracał i opowiadał, jeżeli nie, czytelnik czytał na klepsydrze: urodził się, zmarł tragicznie, pogrążeni w żałobie. Jeżeli Hunter S. Thompson to *gonzo*, Kapuściński nim po prostu być nie może, tak jak buta uszytego na lewą nogę nie da się wygodnie nosić na prawej.

A teraz już najpoważniej na świecie - cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie co posiadacie. Nasza polska kultura piśmiennicza jest jak niezaorana, bujnie kwitnąca zieleń rozmaitem wąską miedzą. Jakże bogata w indywidualności. Poezja polska to kilka zaledwie nazwisk, ale przecież na lekturę, zachwyty, przeżycie piękna, i wyciągnięcie z tego wszystkiego wniosków, jednego życia nie starczy. Polska proza - podobnie. Polski reportaż - dzięki Ci panie Boże, że mamy tylko jednego takiego Kapuścińskiego - życia za mało, żeby a) przeczytać, b) pojąć, c) zachłysnąć się, d) wdrożyć.

Jest wśród nas, nad czym włos na czworo rozszczepiali bohaterowie omówionej książki, ogromnie dużo chamstwa. A tuż obok - wszystkie dziesięć ośmiotysięczników Himalajów poezji, prozy, reportażu. Tylko że Himalaje nie są dla wszystkich, wymagają hartu ducha, wieloletnich przygotowań i wyrzeczeń. A zapierające dech w płucach panoramy warte są każdej kropli potu.

Dr Roman Sabo-Walsh jest poetą, tłumaczem i eseistą, mieszkającym w Vancouver, BC.



Ryszard Kapuściński we wspomnieniu Marka Kusiby:

Ryszard Kapuściński – poeta reportażu

-
- [1] Marek Kusiba: *Ryszard Kapuściński z daleka i z bliska*, Znak, Kraków 2018, s. 352.
 - [2] Tamże, s. 12.
 - [3] Tamże, s. 109.
 - [4] Tamże, s. 161.
 - [5] Tamże, s. 35.
 - [6] Tamże, s. 289-291.
-

„Witamy w białej Afryce” Wojciecha Rogali: Jak daleko stąd, jak blisko...

Recenzja książki

Barbara Lekarczyk-Cisek

Zawarty w tytule reportażu Wojciecha Rogali paradoks odbija jak w soczewce zarówno historię, jak i teraźniejszość Namibii. To próba spojrzenia na zmiany, jakie zaszły w południowej części kontynentu, oczami jego białych mieszkańców. A wszystko to ujęte jest w ramy dialogu, któremu autor nadaje cechy przypowieści, przywołując fragment Ewangelii wg św. Mateusza: „Nie sądzicie...”.

Cechą charakterystyczną narracji Rogali jest także częste porównywanie zmian w Namibii do tego, co się wydarzyło w Polsce po transformacji. Autor próbuje zrozumieć te zmiany odnosząc się do własnych, polskich doświadczeń, poczynając od prostej konstatacji, że Polska odzyskała wolność zaledwie o rok wcześniej od Namibii. Owe paralele sprawiły, że autor reportażu postanowił zbadać, co czują biali mieszkańcy tego kraju, jak patrzą na swoją historię i jaką widzą dla siebie przyszłość. Skąd jednak wzięli się biali mieszkańcy na tych terenach?



Nowy naród wybrany

Afrykanerzy wierzą głęboko, że są nowym narodem wybranym, który został namaszczony przez Boga 16 grudnia 1838 roku. Tego dnia bowiem, gdy 470 Burów - białych potomków holenderskich i hugenockich osadników - otoczyła dwunastotysięczna armia Zulusów, ich kaznodzieja uroczyście poprzysiągł, że jeśli Bóg nie wyda ich w ręce wroga i ocali, wówczas wybudują Mu świątynię, a dzień ten będzie czczony przez następne pokolenia. I stał się cud - w tej nierównej walce zginęło około trzech tysięcy zuluskich żołnierzy i ani jeden Bur... A dzień bitwy nad Blood River stał się dniem przymierza, w którym Pan uczynił Burów władcami tej ziemi. Religia dała temu ludowi tożsamość, dumę i stworzyła wspólnotę, która scementowała rozproszoną grupę białych protestantów z Holandii, Francji i Niemiec. Jednakże po dwustu latach, kiedy Anglicy zniesli niewolnictwo i zaczęli okupować te ziemie, Burowie ruszyli na północ i postanowili zacząć wszystko od nowa - w zgodzie ze swoją wiarą i przekonaniem. Tak rozpoczął się tzw. Wielki Trek, którego główna fala datowana jest na lata 1835-1836.



Antylopa oryks, fot. Wojciech Rogala.

Wojciech Rogala fascynująco opisuje tę wielką odyseję, podczas której ludzie kroczyli potężną karawaną przez pustynię, niczym biblijni Żydzi, nękani przez pragnienie, skwar i malarię. Owe wędrówki trwały z przerwami wiele lat. Ostatnia wyprawa miała miejsce w 1905 roku, kiedy to Burowie, którzy nie chcieli żyć pod panowaniem Brytyjczyków, osiadli w Humpacie, gdzie nie tylko uprawiali ziemię, ale również polowali na słonie, walczyli z oddziałami Owampo i zapuszczali się na tereny administrowane przez Niemców. Po I wojnie zaczęli osiedlać się w Afryce Południowo-Zachodniej, gdzie stworzono osadnikom bardzo dobre warunki.

Afryka jako poligon doświadczalny - pierwsze obozy koncentracyjne

Autor dociera do różnych miast i miasteczek znajdujących się w Namibii, próbując przywrócić zbiorowej pamięci ich historię, która rzutuje na współczesne oblicze kraju. Do miast, których historia jest mało znana, a przecież tak być nie powinno, należy Lúderitz, w którym Niemcy zaprawiali się w masowym mordowaniu ludzi

uwięzionych w obozach koncentracyjnych. Okazuje się przy tym, że obozy koncentracyjne nie są niemieckim pomysłem - zakładali je już Hiszpanie w 1896 roku na Kubie, a także Anglicy, podczas drugiej wojny burskiej (1899-1902). W obozach zginęło wówczas 28 tysięcy kobiet i dzieci, które głodzono, aby złamać ducha walecznych mężów i ojców. Natomiast w niemieckich obozach koncentracyjnych w Lúderitz zginęły tysiące Herero i Nama. Bunt Herero zakończył się nieomal całkowitym unicestwieniem tego plemienia. Tych, których nie zamordowano z broni palnej, zamykano w obozach albo pędzono na pustynię, gdzie umierali z głodu i wycieńczenia. Nieliczni, którzy ocalili, mieli służyć niemieckim panom. Jak w nieodległej przyszłości, przeprowadzano tutaj eksperymenty na więźniach. Gdy niemieccy kolonizatorzy, mieszkający w nieodległym Lúderitz, wiodli swoje zwykłe, codzienne życie, doktorzy - Bofinger oraz Eugen Fischer - selekcjonowali więźniów, zabijali ich, a ich głowy konserwowali w formalinie i wysyłali do Berlina. Tych skatalogowanych i opisanych głów było ok. 780... Dopiero w 2001 roku, na prośbę ludu Herero i rządu niepodległej Namibii, szczątki ofiar zostały zwrócone ich potomkom. A co się stało z doktorem Fischerem? Jak się nietrudno domyślić, był podczas II wojny gorącym zwolennikiem Adolfa Hitlera i odpowiadał za wdrożenie programu rasowego NSDAP. Po wojnie, mimo że był odpowiedzialny za śmierć ok. 70 tys. ludzi, udzielał się naukowo, a nawet został członkiem Niemieckiego Towarzystwa Antropologicznego. Zmarł, nie ponosząc żadnej odpowiedzialności w 1967 roku.



Zabytkowe domy w Luderlitz, fot. Wojciech Rogala.



Pomnik na terenie dawnego obozu koncentracyjnego w Swakop, fot. Wojciech Rogala.

Autor nie tylko opisuje wydarzenia, snuje także refleksje, inspirując czytelników do tego samego. Intryguje go, jak ludzie charakteryzujący się taką pracowitością i samozaparciem, dzięki którym wzniesli piękne miasto na skraju pustyni, byli jednocześnie wierzący i ślepi moralnie, skoro nie odczuwali żalu ni skruchy z powodu tego, co się wydarzyło.

Refleksje o życiu i doświadczenie pustki

Refleksje towarzyszą autorowi nie tylko w odniesieniu do przeszłości, która jest zresztą namacalnie obecna w postaci pomników i architektury. Doświadczenie podróży, poznanie różnych ludzi oraz miejsc także stają się punktem wyjścia do istotnych rozważań. Wiele z nich pozostaje pod wpływem tej sugestywnej lektury w pamięci. Wojciech Rogala ma tę wrażliwość i uważność, która pozwala z obrazów, wydawałoby się, banalnych wysnuć nieomal filozoficzne rozważania.



Felsenkirche (1912), kościół na skałach w namibijskim mieście Luderitz, fot. David Stanley.

Pierwszy taki obraz, który zapamiętałam, to scena z namibijskiego kurortu – Swakopmundu. Reporter obserwuje wiekową białą kobietę, która porusza się za pomocą „balkoniku”, asekurowana przez czarnoskórą opiekunkę. Potem starsza pani, już w kostiumie kąpielowym, zmierza z wielkim trudem, już bez niczyjej pomocy, w kierunku oceanu. Po chwili zanurza się w lodowatej wodzie, która sprawia, że jej ciało staje się na ten czas sprawne jak niegdyś.

Nie widziałem już ułomnej, starej kobiety – pisze autor – lecz siłę woli, charakter, triumf duszy nad ciałem. I dodaje: Czy człowiek jest tylko tym, co widzimy na zewnątrz? Czy nie zapominamy o tym, co naprawdę jest istotne, przez pryzmat jakich postaw i działań powinniśmy oceniać innych ludzi? Czy wszechobecna dbałość o naszą powierzchowność nie zasłoniła nam tego, co jest istotą nas samych?

W innym miejscu, obserwując roślinność, ubolewa nad tym, że współczesny człowiek żyje chętniej w wirtualnym niż w realnym świecie, a tymczasem mądrość czerpiemy właśnie z obserwacji prawdziwego świata. Opisuje np. roślinę pustynną – welwiczję, która może przetrwać bez wody długie miesiące. Jej liście zamierają na swoich

końcach, by zmniejszyć zapotrzebowanie na wodę podczas wyjątkowo suchych okresów.

Rośliny nauczyły się poświęcenia – konstatuje. Nauczyły się, że warto poświęcić coś, nawet cząstkę siebie, aby móc uratować życie.

Rogała pisze także o osobistym doświadczeniu pustyni. Przerazająca pustka i nicość, która zarazem pociąga i kusi.

Czułem się – pisze – jakbym stąpał po obcej planecie. Pustka obejmowała mnie zewsząd, byłem sam na sam z nicością. Nie chciałem wracać, pustynia mnie wciągała. Czułem wielki spokój, było mi tak dobrze. Nie ma nic i to jest piękne.



Lüderitz, małe Niemcy w Afryce, fot. W. Rogala.



Zabytkowy budynek dworca kolejowego w Luderitz, fot. Wojciech Rogala.

Spotkałem ludzi niezwykle bliskich

Reportaż Wojciecha Rogali obfituje także w liczne rozmowy z ludźmi, które pozwalają spojrzeć na pewne wydarzenia oraz na historię Namibii oczami jej białych mieszkańców, dostrzec różne stanowiska, często bardzo odległe od oficjalnych, „jedynie słusznych”. Dzięki nim przestajemy patrzeć na Afrykę stereotypowo, dzieląc jej mieszkańców na „dobrych” czarnych i „złych” białych.

Autor jest nie tylko cierpliwym i otwartym słuchaczem swoich licznych rozmówców, posiada także i tę zaletę, że nawiązuje z nimi głębsze więzi. Jest to rodzaj najpiękniejszej części jego afrykańskiej przygody, a myślę, że każdej przygody, kiedy okazuje się, że – zupełnie się tego nie spodziewając – natrafiliśmy na kogoś, kto okazał się bliski i serdeczny. Otóż poszukując pogardzanych potomków białych osadników – Basterów, reporter trafia nie tylko na ogromnie ciekawą społeczność, żyjącą w Rehoboth, skupioną wokół kościoła, ale również poznaje ich skomplikowaną

historię i zaprzyjaźnia się z Julią, osobą niezwykle serdeczną i ciepłą.

Szukałem innego świata, ginącej kultury - konstatuje - resztek znikającego narodu, a spotkałem ludzi, którzy, mimo że mieszkają tysiące kilometrów od Polski, mają inny kolor skóry, są nam niezwykle bliscy, mają wręcz dziwnie znajome, właściwie tożsame doświadczenia. I dodaje: Wewnętrzne ciepło drugiej osoby, jej bezpośredniość i otwartość łamią wszelkie granice i odległości.

„Witamy w białej Afryce” jest fascynującą podróżą w towarzystwie pisarza, który z wielką pasją i talentem wtajemnicza nas w jej historię i terażniejszość. Skwapliwie i z ochotą podąża się za takim przewodnikiem, który snuje swą opowieść, nie szczędząc nam niczego, co pozwoliłoby uruchomić wyobraźnię, refleksję i - koniec końców - tęsknotę, aby tam pojechać i doświadczyć.



Park Windhuku, skan książki.

Książka Wojciecha Rogali: „Witamy w białej Afryce” ukazała się w Wydawnictwie Muza, 2017 r.

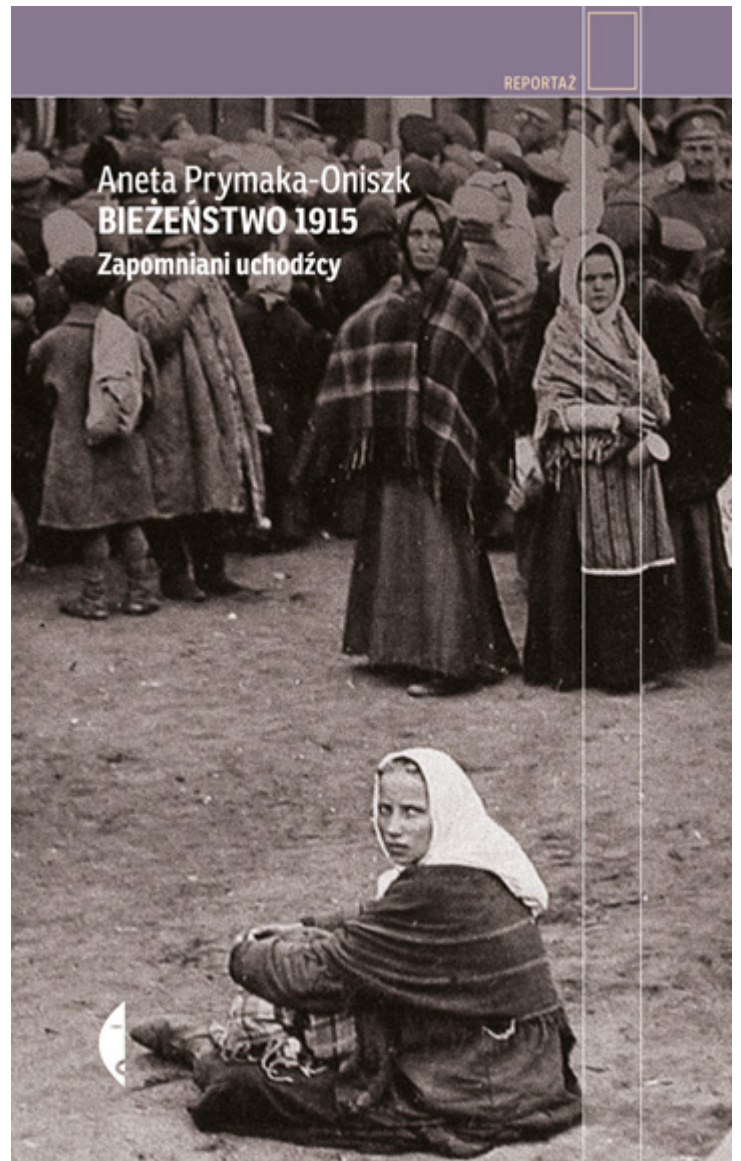
„Bieżeństwo 1915” Anety Primaki-Oniszk: Epopeja o zapomnianych uchodźcach.

Barbara Lekarczyk-Cisek

Recenzja książki

Aneta Primaka-Oniszk przypomina światu historię nigdy w pełni nieopowiedzianą. Pisze o świecie, którego już nie ma i o którym właściwie zapomniano. Jej opowieść o uciekających przed zagładą chłopach z Podlasia ma epicki charakter, a jednocześnie wtajemnicza czytelnika w pojedyncze ludzkie losy, nad którymi autorka pochyla się z wielką wrażliwością, próbując zrozumieć, co ludzie ci czuli i przeżywali.

„Bieżeństwo 1915” to jedna z tych książek, o których można powiedzieć, że musiała zostać napisana. Epopeja o zapomnianych uchodźcach to jedna z najbardziej poruszających lektur, jakie dane było mi ostatnio przeczytać.



Aneta Primaka-Oniszk przypomina światu historię nigdy w pełni nieopowiedzianą. Pisze o świecie, którego już nie ma i o którym częściowo zapomniano. Jej opowieść o uciekających przed zagładą chłopach z Podlasia ma szeroki, epicki charakter, a jednocześnie wtajemnicza czytelnika w pojedyncze ludzkie losy, nad którymi autorka pochyla się z wielką wrażliwością, próbując zrozumieć, co ludzie ci czuli i przeżywali.

Bieżeństwo. Tak babcia i wszyscy wokół nazywają ten czas – pisze. Musi być ważny, skoro ich historia świata dzieli się na przed bieżeństwem i po bieżeństwie.

Opowieść ta ma więc także osobisty aspekt: dotyczy babci Nadzi, czyli Nadziei, która przeżyła bieżeństwo, a na jej fotografii – jednej z nielicznych, które się zachowały – pozostał tego ślad, bo usta babci wprawdzie się uśmiechają, ale w oczach pozostał

smutek... Kiedy wyjeżdżała z Knyszewicz, miała osiemnaście lat, była urodziwa i nosiła długie warkocze. Podobno była do Anety bardzo podobna. Ona jednak pamięta ją jako starą już kobietę, czytającą dzieciom w Wielki Czwartek ewangelię w języku staro-cerkiewno-słowiańskim i niechętnie mówiącą o przeszłości.

Historia utraty

Bieżeństwo to historia utraty: bliskich, domu, ziemi, a wreszcie korzeni i tożsamości.

Staliśmy się nie ludźmi, ale liśćmi - opowiada jedna z bieżenek. Wiatr nas goni, gdzie chce.

Taki los stał się udziałem milionów ludzi. Kto jest w stanie to pojąć, co czuje człowiek, który nie tylko utracił wszystko, ale przestał mieć jakikolwiek wpływ na swój własny los? Wydaje się, że to niemożliwe, a jednak ta książka pozwala to poczuć.

Zacząło się od tego, że w 1915 roku, podczas I wojny światowej, cofające się wojska rosyjskie zaczęły siłą wysiedlać wsie, a także niszczyć plony, aby nic nie pozostało dla wrogów. Ponadto propaganda siała strach przed nadciągającym wrogiem.

Germaniec wrzuca ludzi do ognia! Niemcy babom cycki będą obcinać, dzieci nabijać na szable albo wrzucać do studni!

- niosła się złowroga wieść. I ludzie ruszyli na Wschód całymi taborami i wsiami.

Aneta Prymaka nie poprzestaje na przytaczaniu relacji i faktów, nie jest jedynie chłodnym, obiektywnym kronikarzem tych wydarzeń. Przeciwnie, nieustająco towarzyszy jej opowieści refleksja i empatia. To bardzo ważny element narracji.

Analizuję, co czuli przed wyjazdem - snuje rozważania. Próbuję złapać ten moment podjęcia decyzji: jechać czy zostać. Gdy wczytuję się we wspomnienia, odkrywam jednak, że często decyduje przypadek. Czasem ludzki błąd, czasem fart lub pech.



Lubelski Bełc - Rawa Ruska, fot. z książki „Bieżeństwo 1915”.

Dantejskie piekło

Podróż trwa długo. Po drodze umierają ludzie i padają zwierzęta. Brakuje wody i kończą się zapasy żywności. Szerzy się odra, tyfus, cholera. Giną od nalotów bombowych. Ciały pozostają bez pochówku... Mnożą się ludzkie dramaty. Dzieci tracą rodziców, a rodzice dzieci. Zdarzają się takie przypadki, jak ten, kiedy ojciec po śmierci żony oddaje najmłodsze dziecko do sierocińca, bo obawia się, że nie wykarmi całej piątki. Kiedy najmłodszy z rodzeństwa odjeżdża pociągiem, wszyscy płaczą. Taki obrazek pozostaje na zawsze w pamięci jego starszej siostry... Odnotowano, że zdarzały się i takie przypadki, że umierające matki, nie mogąc znaleźć nikogo, kto zaopiekowałby się ich dziećmi, topiły je, nie chcąc skazywać na powolne konanie. Były jednak i takie, które za nic w świecie nie dały sobie odebrać dzieci. Z jednym z takich dzieci, cudem ocalałych dzięki matczynej determinacji, ciotką Nurą, Aneta Prymaka rozmawia w 2013 roku. *Ma dziewięćdziesiąt dwa lata, mówiła o tym już nie raz. Zawsze wtedy płacze.*

Czy można zacząć nowe życie z pękniętym sercem?

Ci, którym udało się przeżyć, odbywają podróż w nieznane. Na jednym z zamieszczonych w książce zdjęć widać cztery kobiety z dziećmi na drewnianym pomoście. To Astrachań nad Wołgą, a one czekają na dalszą podróż...

Gdy widzę to zdjęcie po raz pierwszy – pisze autorka reportażu – mam wrażenie, jakbym zobaczyła swoją babcię Nadzię albo prababcię Annę Prymakę z trzyletnią Lubą na rękach. Te wszystkie kobiety, które z babcią Nadzię wspominały Rasieję, gdy jako kilkuletnia dziewczynka bawiłam się obok. Zaraz zostawią bezpieczny ląd i wsiądą na statki, które powiozą je nie wiadomo gdzie.

Przyjeżdżają wynędzniali, często chorzy, po różnych traumatycznych przeżyciach. Trzeba zacząć nowe życie. Ale czy to możliwe?

Zastanawiam się, kim staje się człowiek, którego świat całkowicie runął – zastanawia się reporterka. Z czego buduje nową rzeczywistość? Skąd czerpie siłę? Kim staje się cała społeczność, która utraciła wszystko?

Niektórzy docierają aż do Taszkientu, a tam, po wyjściu z pociągu, widzą na peronie kolorowo ubrane postaci o poczerniałych twarzach, ostrych rysach i skośnych oczach – tak muszą wyglądać tylko diabły. Tymczasem okazuje się, że to delegacja Kirgizów i Sartów, witająca bieżenców białym chlebem. Później dowiadują się, że mieszkają tam również przesiedleni wiele lat wcześniej Ukraińcy. Jednak wszystko jest obce i ludzie wysiedleni z Odrynek nie nauczyli się żyć w Czardżuju. Kiedy na wiosnę wszystko budzi się do życia, oni – niedożywieni i osłabieni podróżą – zaczynają chorować i masowo umierać. Wielu zapada na choroby psychiczne. Znany psychiatra, Władimir Michajłowicz Biechtieriew, proponuje nawet otwarcie w Piotrogradzie kliniki psychiatrycznej dla bieżenców. Stara się o sfinansowanie budowy szpitala przez Komitet Wielkiej Księżnej Tatiany. W gazetach ukazują się artykuły, w których autorzy z wielkim współczuciem piszą o przeżyciach bieżenców, zwłaszcza dzieci:

Być może ich małe, niemające jeszcze siły serduszka rozpadły się już na kawałki i takie pozostaną na całe życie, tak jak pęknięte są serca ich posępnych i wymęczonych matek i ojców.



1. Дѣвочка Елена Семеновна, 7 л. Изъ Гроднен. губ.—2. Мальчикъ Владимиръ Семеновичъ, 5 л. Изъ Гроднен. губ.—3. Мальчикъ Гаврилъ Ивановичъ, 6 л.—4. Мальчикъ Захаръ, 4—5 л.—5. Мальчикъ Макаръ. Изъ Гроднен. губ.—6. Мальчикъ Николай.—7. Дѣвочка Марія Іосифовна, 8 л.—8. Дѣвочка Анна Іосифовна, 6—7 л.—9. Мальчикъ Яковъ Іосифовъ, 3 л.—10. Дѣвочка Ганна, 5—6 л.—11. Мальчикъ Константинъ, 4—5 л. Фамили этихъ 11 дѣтей неизвѣстны. Всѣ дѣти помѣщены въ пріютъ въ с. Подостровномъ, п. ст. Каргашино, Тамбовской губ.

Zdjęcie grupowe zrobione w przytułku we wsi Podostrownoje w guberni tambowskiej, fot. z książki „Bieżeństwo 1915”.

Apokalipsa 1917 roku

Kiedy w 1917 roku wybuchła rewolucja, zaczyna się prawdziwa apokalipsa. Świat wali się po raz drugi, padają też ostatnie filary starego porządku: autorytet władzy i Bóg. Zaczyna się groza i straszliwy głód. Bolszewicy sypią zboże do rzeki, palą lub rzucają ptakom. Dzieją się rzeczy niewyobrażalne nawet dla bieżęńców, którzy tyle przeszli. W latach 1921-1923 umiera ponad pięć milionów ludzi, dochodzi do aktów kanibalizmu. Bieżęńcy postanawiają wracać, ale na powrót do domu wielu z nich będzie musiało czekać kilka lat.

Przyjechałem zupełnie ogołocoony z pieniędzy wydanych na łapówki bolszewikom i Niemcom - napisze w swoich wspomnieniach Stanisław Wojciechowski, przyszły prezydent Rzeczypospolitej. Bieżęńcy znowu doświadczają głodu, ponieważ i

chorób. W dodatku wracają do innej Polski, której nie było przed ich przyjazdem i muszą się w niej na nowo odnaleźć.

„Gazeta Warszawska” 19 stycznia 1922 roku napisze:

Repatrianci przybywają do Polski w stanie wycieńczenia i zarazy nie tylko z tego powodu, że w Rosji panuje głód, przed którym uciekają do Polski, ale również dlatego, że podróże z Rosji trwają całymi tygodniami, a niekiedy i miesiącami, podczas których rząd sowietów nie daje prawie żadnej pomocy żywnościowej i podróże te odbywają się w wagonach tak zawieszonych, iż nawet zdrowi repatrianci ulegają zarażeniu i często umierają w pociągach przed przybyciem do Polski.

Powrót na „goły kamień”

Ci, którym udało się jednak powrócić, zastają najczęściej ruinę – spalone domy i zagrabione gospodarstwa. Na szczęście Niemcy, którzy zakładali na tych terenach kolonie rolne, wyjechali i pozostawili po sobie zboża.

Ach, wiele przeżyliśmy. Wróciliśmy na goły kamień – powtarza babcia autorki. Ale to nie wszystko. Ludzie zobaczyli, że tamtego, starego świata, który zapamiętali, już nie ma i nigdy nie będzie. Panuje straszliwa bieda: jedzą zupę z pokrzyw, a dzieci pracują ponad siły, krzywdzone i poniżane. Co jednak ma robić wdowa, która wróciła z gromadką małych dzieci? Co mają robić osierocone dzieci, które są zbyt małe, aby utrzymać pług? Pracują ponad siły i straszliwie biedują. Powoli jednak zaczyna się odbudowa nowego życia. To niełatwe, bo większość z nich mówi *po swojemu* i nie ma szansy poznać polskiego przed pójściem do szkoły. Znikają także prawosławne cerkwie, zastąpione przez kościoły. A przecież religia jest dla tej ludności ważnym składnikiem ich tożsamości. Nic zatem dziwnego, że prorok Ilia (Eliasz Klimowicz) ogłasza koniec świata i przygotowuje naród do ponownego przyjścia Chrystusa.



Астраханское Отдѣленіе.
Бѣженцы на Волгѣ передъ отправкой въ села.

Bieżeńki nad Wołgą, fot. z książki „Bieżeństwo 1915”.

Bieżeństwo jako źródło tożsamości nowego pokolenia

Historyk, prof. Eugeniusz Mironowicz, pomysłodawca tomu „Bieżeństwo 1915 hoda”, uważa, że po tych wszystkich wydarzeniach wyrosło pokolenie prawnuków, którzy piszą własną wersję historii i interpretują ją na swój sposób. W ten sposób tworzy się rodzaj nowej mitologii, która stanie się źródłem tożsamości najmłodszego pokolenia.

Aneta Prymaka nie tylko opisała historię bieżeństwa i jej skutki, ale również założyła bloga Bieżeństwo.pl, na którym zapisuje nowo odkryte ludzkie historie. Blog stał się poniekąd „miejscem spotkań” potomków bieżeńców.

Poza wszystkim książka „Bieżeństwo 1915” jest epickim, pełnym opisem historii bieżeńców 1915 roku, w którym autorka nie tylko pochyliła się nad losem wspólnot, pojedynczych ludzi, a także nad historią własnej rodziny. Stała się także „kronikarzem duszy ludzkiej” (używając sformułowania Swietłany Aleksijewicz),

ukazując, jakie straty ponieśli ludzie w sferze duchowej i psychicznej. Czytając ten fascynujący reportaż, stajemy się świadkami i niejako „uczestnikami” jej dramatycznej opowieści, budzącej zarazem refleksję nad meandrami historii. Książka otrzymała już szereg znaczących nagród, m.in. nominację do Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego 2017, Nagrodę Literacką im. Wiesława Kazaneckiego oraz Nagrodę Literacką Miasta St. Warszawy.



Bieżeńcy, 1915 r, fot z książki „Bieżeństwo 1915”.



Bieżeńcy na jednym z postojów, fot. z książki „Bieżeństwo 1915”.

Książka Anety Prymaki-Onyszk: „Bieżeństwo 1915. Zapomniani uchodźcy” ukazała się w Wydawnictwie Czarne.

List z nadzieją



Ryszard Kapuściński, fot. polskieradio.pl

Ryszard Kapuściński (1932 - 2007)

Barbara Gruszka-Zych

- Do tego, żeby uprawiać dziennikarstwo, przede wszystkim trzeba być dobrym człowiekiem - pisał Ryszard Kapuściński. Warto pamiętać te słowa dziś, gdy dziennikarze goniąc za sensacją zapominają o współodczuwaniu z opisywanymi bohaterami. Kapuściński był dobrym reporterem i dobrym człowiekiem.

Ci, co uprawiają dziennikarstwo reportażowe uczyli się na kolejnych jego książkach. Ci, co chcieli poznać prawdę o Afryce, Azji, Ameryce Łacińskiej, Rosji, Polsce, ale i w ogóle świecie - dokładnie je czytali. Ryszard Kapuściński podniósł reportaż do rangi literatury pięknej. Każdy rasowy reporter w Gazie, Bagdadzie czy Kurdystanie zna go i podziwia. Jego książki przetłumaczono na dziesiątki języków. Wystawiano na deskach ważnych teatrów. Szczególnie uwielbiano go we Włoszech. Jego nazwisko znajdowało się na liście kandydatów do Nagrody Nobla. Kapuściński często wspominał, że praca reportera, a zwłaszcza korespondenta agencyjnego to nie tylko zawód, za który można zarobić pieniądze. - Moja praca to powołanie, misja - powtarzał. Starał się robić coś dobrego dla innych. Wierzył w moc słowa. Kiedy jako

pierwszy zaczął pisać o mordach w Rwandzie, usłyszał o tym cały świat. I sytuacja w tym kraju powoli zaczęła się zmieniać.

Reporter z przerwami na wiersze

Urodził się 4 marca 1932 w Pińsku na Polesiu, w dzisiejszej Białorusi, na prowincji. Do dziś w centrum miasta bociany wiją tam gniazda. Polesie chodziło za nim nieustannie. Obiecywał sobie, że kiedyś o nim napisze. Na belce, podtrzymującej sufit w jego pracowni na warszawskiej Ochocie, wśród niewielu innych zdjęć, wisiała oprawiona fotografia Pińska sprzed wojny. Od kiedy jako siedmiolatek razem z matką uciekł stamtąd przed wywózkami, stale był w podróży. Notował, że wojna, której się wtedy naoglądał, stale w nim jest. Niektórzy twierdzili, że te przeżycia przygotowały go do wyjazdów w charakterze korespondenta wojennego. Przez rok studiował polonistykę, potem historię. Fascynowało go jak tworzyli ją konkretni, szarzy ludzie. Historię z takiej perspektywy opisywał potem w swoich książkach reportażowych. *Cesarz, Heban, Wojna Futbolowa, Kirgiz schodzi z konia, Imperium*. W każdej po mistrzowsku przedstawiał realia przewrotów, rewolucji, zwykłego życia. W *Imperium* zamiast pisać o wielkiej moskiewskiej polityce pokazał prowincję i największą w świecie produkcję drutu kolczastego – symbolu systemu. Debiutował wierszami na łamach dodatku do tygodnika *Dziś i jutro* w wieku 17 lat. W stanie wojennym wrócił do poezji i wydał *Notes* (przetłumaczony na włoski i tam doceniony) oraz krótkie notatki, zebrane w tomach *Lapidaria*. Nie chciał wyjeżdżać z kraju, jako korespondent, kiedy koledzy byli internowani. Stale wracał do lektury wierszy. Uważał, że uczą dyscypliny, „walczą o piękno języka”. Po raz pierwszy wyjechał jako korespondent *Sztandaru Młodych* do Indii, Afganistanu i Pakistanu kiedy miał 24 lata. Potem wielokrotnie pisał o „milczącej nędzy” tych krajów. Stał się jej głosem. Podkreślał dysonansy między światem cywilizowanym a Afryką, krajami Trzeciego Świata. Prorokował, że trzecia wojna światowa toczyć się będzie nie o ropę, ale wodę, której coraz bardziej brakuje.



Z prawej: Ryszard Kapuściński, zdjęcie z wystawy „The Poet of Reportage”.

Bliski inny

Koledzy, którzy zaczęli z nim pracę reporterską w latach 60-tych, dawno zmienili zawód. Zostali menadżerami, szefami stacji telewizyjnych. Skończyła im się ciekawość świata – siła napędowa podróżowania. On pozostał w drodze. To stan idealny dla piszącego reportaże. *„W prasie, telewizji dążą do skrótu – notował. – Kiedy możesz zapisać co najwyżej dwie strony, nie ma miejsca na całe bogactwo odcieni”*. Dziennikarz na ogół musi dokonywać dramatycznych wyborów, dostosowywać się do bolesnych ograniczeń. Dlatego zaczął pisać książki. Nigdy nie nagrywał i nie notował. Nie chciał tracić bezcennego wyjazdowego czasu. Wierzył w swoje akumulatory: pamięć i imperatyw rejestrowania przeżyć. Niektórzy zarzucali mu, że nie zachowuje chronologii wydarzeń i myli nazwiska. Dla niego ważne było własne spojrzenie. Przedstawienie samej esencji, prawdy wydarzeń, które przeżył, stając się częścią opisywanej wspólnoty. Zawsze dostrzegał „innego” – przedstawiciela mniej znanej części globu, kultury – jako kogoś bliskiego. Podkreślał, że Europa to nie centrum świata. Sam zresztą poczuł się „inny”, kiedy w 56 po raz

pierwszy leciał do Afryki z postojem w Rzymie. Siedział w kawiarni na Piazza Venezia z *Dziejami* Herodota, kolegi – jak uważał – po piórze sprzed dwóch i pół tysiąca lat, i widział, że sąsiedzi na niego popatrują. Był inny, z socrealistycznego świata.

Wspólna igła

Jedenaście razy znalazł się na linii frontu. Cztery – uniknął śmierci. Ale nie jeździł dla samego ryzyka. Chciał być razem z innymi, zrozumieć ich. Uważał, że źli ludzie nie mogą być dobrymi reporterami. *„Bo nie potrafią wczuć się w życie opisywanych i stać częścią ich losu”*. Miesiące w tropikach, niespodziewane choroby, wyniszczenie serca – to była ogromna cena, jaką płacił. Przez rok chorował na gruźlicę, a przy tym pracował, wysyłał korespondencje. Leczył go w leprozorium jedyny lekarz na całą wschodnią Afrykę. Wkłuwał mu co dzień zastrzyk z penicyliną. W sumie – 360 zastrzyków. Mieli tam jedną igłę, z której korzystali wszyscy chorzy. Już w pierwszym zbiorze Busz po polsku, pokazującym życie na mazurskiej wsi, skupiał się na konkretnym człowieku, detalach z życia, drobiazgach. *„Jak opisać ulicę w jednym mieście, żeby odczuli jej ruch, jej klimat, jej trwanie i zmienność, jej zapach i szum” – zastanawiał się.* – *„Trzeba pamiętać, że reportaż jest zawsze pracą zbiorową, ma wielu autorów. (...) Na reportaż składają się cudze głosy i doświadczenia”* – przypominał w *Autoportrecie reportera*, elementarzu dla dziennikarzy. Podkreślał, że praca nauczyła go pokory, szacunku dla innych. Sam był skromny, nie wchodził w rolę autorytetu. Pamiętam, jak po wystąpieniu na konferencji w Krakowie, stał gdzieś z boku, cichy, w granatowym płaszczu.

W hotelu na tratwie

Wyruszał w drogę bez kufrów i waliz. Aparat fotograficzny, kilka koszul. – *„Im mniejszy bagaż, tym dalej można dotrzeć”* – mawiał. Podróżował drugą klasą. Mieszkał w hotelach trzeciej kategorii. Uważał, że tam można zajrzeć pod podszewkę codzienności, poznać fascynujących ludzi. Gdyby nie zamieszkał w hotelu „Metropol”, czyli na tratwie zacumowanej przy bocznej dzielnicy tropikalnej Akry, nie poznałby wuja Wally i nie napisałby jednego z tekstów *Wojny futbolowej*. Obrazków życia w egzotycznych miastach świata, które tworzą konkretni ludzie. Ich przeżycia, marzenia, przyzwyczajenia. Przed każdą podróżą czytał poznając teren. Przed napisaniem *Hebanu* 260 tytułów. Gromadził „podręczne”, kilkutyśne

biblioteki nie tylko w Warszawie, ale w Lagos, Dakarze, Oxfordzie, Meksyku, Stanach.

Wiersz i list

*i nie zostało mi nic oprócz Boga -/to znaczy/zostało wszystko/jeżeli wierzysz - na to haiku Kapuścińskiego trafiłam w wydanej w zeszłym roku antologii polskiego epigramatu. Pomyślałam, że poświęcił się dłuższym formom dziennikarskim, a w tej miniaturze zawarł aż tyle. Od dawna planowałam z nim rozmowę. Bo reportaż i haiku to także moje ulubione gatunki. Ale stale wyjeżdżał, ostatnio do ulubionych Włoch. 5 listopada 2006 dostałam od niego list: *Droga Pani Barbaro - Dziękuję za list i za zaproszenie do rozmowy. (...) Teraz znów wyjeżdżam wyklądać na uniwersytecie w Kolumbii. Będę w kraju z powrotem wiosną 2007 i proszę zadzwonić do mnie wówczas, a wtedy mam nadzieję, wreszcie umówimy się na spotkanie.**

23 stycznia 2007 roku Ryszard Kapuściński zmarł w warszawskim szpitalu przy ul. Banacha na rozległy zawał. Zamiast wywiadu został mi list z zapisaną przez Niego nadzieją na spotkanie.



Ryszard Kapuściński, fot. panenka.org